

Patrzę na ciebie. Znow stoję w tłumie i na ciebie patrzę, wiesz? Skąd miałabyś wiedzieć. Podnoszę aparat fotograficzny, ustawiam kadr, sprawdzam światło. Pstrykam jedno magiczne zdjęcie, które zatrzymuje cię w ruchu. Boże, jak pięknie wyglądasz. Obcisłe czarne spodnie, jak zwykle eleganckie, i błyszcząca setkami cekinów bluzka z długimi rękawami. Długie włosy, idealnie wyprostowane i upięte wysoko w ciasny kucyk. Lśniesz. W prawej ręce batuta, która wyznacza rytm całej orkiestrze. O rany... jak ja cię teraz czuję. Majtki robią mi się wilgotne, zupełnie jak wtedy, kiedy zobaczyłam cię w tej samej scenie trzy lata temu. Trzy lata! Tyle już na ciebie patrzę.

– Zaraz wchodzi Berezjew. – Słyszę gdzieś za plecami i szybko znow unoszę aparat. – Zrób mu jakieś ekstrasfoto na Instagram. Facet musi błyszczeć.

– Jasne, Arti – odpowiadam i skupiam się na pracy. – Sam siebie nie pozna po mojej obróbce – rzucam żartobliwie.

– No ja myślę – mówi Artur, który z kamerą już przesuwą się w prawo i znika mi wreszcie zza pleców. – Tylko nie odmładzaj go za bardzo. – Śmieje się jeszcze.

– Wszystko jest kwestią smaku – mamrocę i już robię pierwsze zdjęcia Berezjewowi.

To nowy w zespole tenor, który zaraz zaśpiewa *Turandota* Pucciniego. Dobry jest, nie przeczę, ale co Pavarotti to Pavarotti.

Kątem oka zerkam na Sarę, której batuta wykonuje właśnie mocny wyskok, by zaraz potem zaliczyć ostre cięcie w dół i na prawo. Wciąż nie do końca orientuję się, jak orkiestra rozróżnia te ruchy, ale też nie interesuje mnie to za bardzo. Interesuje mnie wyłącznie ona. Sara Mosakowska. Dyrygentka. Najseksowniejsza kobieta, jaką widziałam od lat. Zwłaszcza od tych trzech ostatnich.

Berezjew wciąga powietrze w płuca i lekko się prostuje, a kiedy zaczyna śpiewać, robię mu zdjęcie. Facet ma doskonale zęby, fotogeniczną twarz i arcymęskie rysy. Podbródek jak bracia Daltonowie, o ile ktoś pamięta komiksy *Lucky Luke*. Długi, mocno zarysowany, charakterystycznie cięty

w linię prostą na końcu. Sprawdzam fotkę i uśmiecham się. To jedno zdjęcie zrobi mi całą robotę.

Zadowolona wracam spojrzeniem do mojej Sary. Nie, nie jest moja i nigdy nie była, ale w wyobraźni... och! Brałam ją i pozwalałam się brać dziesiątki razy. We wszystkich możliwych konstelacjach. Zresztą gdyby teraz ktoś wsunął mi rękę w majtki, to niczego nie dałoby się ukryć. Lekko rozchyłam nogi i udaję swobodną zawodowo pozę, choć tak naprawdę połużniam w ten sposób bieliznę pod spodniami. Może świeże powietrze plenerowego koncertu trochę wysuszy to moje wiecznie pobudzone podwozie.

Patrzę zachwycona na jej pośladki. Ta kobieta wcale nie dyryguje kilkudziesięcioosobową orkiestrą. O nie. Ona tańczy. Cały czas tańczy. Każdy jej ruch wydaje się spontaniczny, niewystudiowany, zupełnie jakby jej ciało żyło, zamiast pracować. Wygina się, napina i podskakuje – serio! – by zaraz potem opuścić batutę, wywołując raptowną ciszę gasnącej muzyki. Potem podrywa się i feeria dźwięków wraz z głosem Berezjewa wystrzela ku górze niczym podsycony alkoholem ogień.

Zwilżam usta, patrząc na jej wysokie czarne szpilki. Jak ona w nich chodzi! Tańczy! O... matko. Mam ciarki na przedramionach, a zaraz potem pod piersiami, na brzuchu i między nogami. Puls za pulsem. Gdyby tylko wiedziała, co ze mną robi. To połączenie: ona, muzyka, instrumenty, taniec. I w tym wszystkim ja. Taka mała. Rozpaczliwie spragniona wszystkiego, co się z tą kobietą wiąże. Mam sucho w ustach. Sam pieprz.

– Masz go? – pyta Arti, który znów pojawia się przy mnie niczym duch.

A może to ja jestem już tak zafiksowana, że ciągle ktoś mnie swoją obecnością zaskakuje?

– Ba! – odpowiadam i po sekundzie pokazuję mu podgląd zdjęć.

– Fiuu! – Mężczyzna cmoka z uznaniem. – Jak na niego patrzę, to czuję, że muszę do dentysty.

Śmiejemy się oboje. Przy zębach Berezjewa każdy chyba myśli to samo.

– Obstawiasz, że to naturalne czy jednak nosi protezę? – pyta Arti.

– Jeśli to drugie, to jest idealnie dopasowana – stwierdzam.

– Chyba prawdziwe. – Arti przypatruje się zdjęciu. – Przy tych jego szerokich „ooo” wypadłaby mu podczas śpiewania.

– Jezus, Arti, nie każ mi sobie tego wyobrażać – rzucam i już widzę tę scenę gdzieś głęboko w fantazji.

To byłby obciach wszechczasów. Ciekawe, ile zapłaciliby w prasie za takie zdjęcia. Wyobrażam sobie cykl fotek na przyspieszonej migawce. Szczeka wysuwa się z ust, przechodzi dalej, dalej, jeszcze kawałek i wreszcie wypada prosto pod nogi popularnego polskiego tenora. O Boże. Aż na moment zapominam o wijących się na scenie biodrach Sary.

Rozmowa z Artim zajmuje mi kilka nieplanowanych, piekielnie długich minut. Udaję wreszcie, że muszę zrobić jeszcze fotki z innych miejsc, i żegnam się z nim. Cieszę się, że wybrał inną stronę i nie powlókł się za mną. Plan koncertu znam na pamięć, za moment opera Bizeta, a tu ruchy Sary Mosakowskiej lubię najbardziej.

Mam też nadzieję, że publika nie okaże się tak wieśniacka, jak w poprzednim mieście. No kto to widział, żeby spod sceny wyć do dźwięków takiej opery słowami: „Zabili byka, cóż to był za byk! Krew z niego sika, siku, siku, sik!”. Koszmar! Nie mam pojęcia, co za jęłop napisał taki tekst pod tę muzykę, ale zabił sztukę. Powinni go wsadzić. Profanacja.

Sara zaczyna mocno, jak to w preludium. Jej ramiona podrywają się szybko, energicznie, batuta śmiga na wszystkie strony, a ja przykładam obiektyw do oka i robię zbliżenie. Teraz patrzę tylko na nią.

Wyobrażam sobie seks przy tym utworze. Szalony, prędkie, gwałtowny, nieposkromiony. Niemal czuję między nogami penetrujący mnie język dyrygentki. Intensywne doznanie. Bielizna znów mokra. Przez szkiełko aparatu patrzę na zwięźnięcie w pasie, na tę koszulę idealnie ją teraz opinającą. Gdybym tylko mogła jej dotknąć. Raz. Dwa razy. Sto.

Muzyka cichnie i przez kilka ulotnych chwil jest tak niebywale spokojna. Jakby język zwalniał, rozsmakowując się w tym, co ma przed sobą. Powolne, długie pociągnięcia. Bez pośpiechu, ale i bez rozmyślnego planu. Samo czucie. Z ust wyrывa mi się cichy jęk. Opera przyspiesza, a ciało Sary dostosowuje się do tego tempa. Drży, unosi się, opada, znów unosi. Jej ramiona w górze, kolana lekko ugięte.

I teraz! Tempo skacze radykalnie. Cztery, może pięć razy. Ona wybija się na tych niebotycznie pięknych obcasach i wyskakuje nad drewniany podest

sceny. Może to tylko trzy centymetry, ale... och! Cała orkiestra zgrywa się z nią i miejski park zalewa szalone tempo. A mnie zalewa wilgoć.